

Protokół przesłuchania świadka

Warszawa dnia 18 kwietnia 1946r. Sędzia Okręgowy Sledczy II rejonu Sądu Okręgowego w ^{Warszawie} ~~Warszawie~~ Werenko delegowana do Komisji Badania Zbrodni Niemieckich, przesłuchiwała niżej wymienionego w charakterze ^{świadka} ~~świadka~~ świadka o odpowiedzialności karnej za fałszywe zeznanie, oraz o znaczeniu przysięgi. Sędzia odebrał od niego przysięgę na zesadzie art 109 k.p.k. poczem świadek zeznał co następuje:

Imię i nazwisko	Helena, Adolfina, Monika Kłosowicz, stan cywilny rozwiedziona z Czyżkowskich.
Data urodzenia	11.III.1911r w Pohulance woj. Warszawskie
Imiona rodziców	Bolesław i Józefa z Krygierów
Zajęcie	Urzędniczka Ministerstwa Ziemi Odzyskanych.
Wykształcenie	ukończona Akademia Sztuk Pięknych w Warszawie, Wydział Graficzny.
Miejsce zamieszkania	Pruszków ul Sienkiewicza 2 m 12
Wyznanie	rzymsko-katolickie
Karalność	karana z art.1 Dekretu P.K.N.17.-X.1941./o Ochronie Państwa/ na 6lat więzienia, zmniejszoną z powodu zastosowania ustawy o amnestji na jeden rok więzienia zawieszony w drodze łaski przez Prezydenta R.P. na dwa lata, za udział w A.K. po dniu 17 listopada stycznia 1945r.

Brałam udział w Powstaniu Warszawskim 1944r jako sanitariuszka w batalionie im. "CHROBREGO" ^{pod} pseudonimem ^{em} "Monika" od dnia 1.VIII.1944r. Od dnia 18.VIII.1944r przeszłam do linii i brałam udział w akcji z bronią w rękę. W dniu 23 sierpnia 1944r po otrzymaniu rany, przez dowódcę majora Zdana /pseudonim/, na własną prośbę wróciłam do sanitariatu. Zaczęłam pracować jako sanitariuszka w szpitalu polowym powstańców przy ulicy Długiej nr.16; w dniu pierwszego września 1944r, po wycofaniu się wojsk powstańczych do Śródmieścia, z terenu ulicy Długiej nr. 16, wszystkie sanitariuszki, za wyjątkiem mnie i siostry Łukasz, której nazwiska i adresu obecnego nie znam, przeszły do śródmieścia razem z powstańcami. Spodziewając się szybkiego wkroczenia wojsk niemieckich, razem z siostrą Łukasz postanowiłyśmy umieścić wszystkich chorych w jednym punkcie przy ulicy Długiej nr. 7 w dawnym gmachu Ministerstwa Spraw Wiedliwości. Zaznaczam, iż wszyscy ciężko ranni odleżeli do Śródmieścia razem z wojskiem powstańców. Przy pomocy ludności cywilnej przeniosłam 43 rannych ze szpitala przy ulicy Długiej nr. 6 do szpitala przy ulicy Długiej nr.7, a także ze szpitala przy ulicy Długiej nr.10, - ośmiu rannych. Razem zostało zgromadzonych w szpitalu przy ulicy Długiej nr.7, około 430 osób, licząc w tym i tych, co tam przebywali uprzednio. Starając się nadać szpitalowi charakter szpitala dla ludności cywilnej, sporządzałam nowe listy, na skutek czego pamiętam dokładnie, iż mogło być około 430 chorych, w tym mężczyzn byli najwięcej, były jednak ^{cały} kobiety i dzieci. Po sporządzeniu nowych list, wszelkie ślady mogące świadczyć o tym, iż był przy ulicy Długiej nr.7 poprzednio szpital wojskowy, - więc dawne listy, ubrania i t.p. spaliłam nocą z 1. na 2 września 1944r. Około godziny 7-ej rano zauważyłam białe płachty rozwieszane przez ludność cywilną na barykadach. Około godziny 8-ej usłyszałam rozmowę po niemiecku na podwórzu szpitala. Przebywałam w tym momencie na sali nr. 7 na I. piętrze, gdzie znajdowali się "moi" ranni przeniesieni z ulicy Długiej nr.6 i nr. 10. Do szpitala wtargnął oddział SS-manów uzbrojonych. SS-man z rewolwerem w rękę wszedł na salę, gdzie byłam, ze słowami w języku polskim "przekleci bandyci". Przebiegł przez dwie kolejne sale i wyszedł z powrotem. Następnie SS-mani grupami po 4-5-ciu przechodzili przez salę gdzie byłam. W pewnym momencie wszedł oficer SS i przy pomocy żołnierza SS -mana mówiącego po polsku zwrócił się do mnie z zapytaniem "czy to są powstańcy" - odpowiedziałam mu, że to jest ludność cywilna - Pytał się następnie, kto jest odpowiedzialny za ten szpital, odpowiedziałam mu, że za te dwie sale ja jestem odpowiedzialna, następnie spokojnie zapytał mnie jaki jest stan chorych i czy mam dostateczną ilość środków sanitarnych i żywnościowych. Odpowiedziałam mu, że jesteśmy pozbawieni wszystkiego, na to odparł mi, że w ciągu godziny dostarczy mi środków opatrunkowych

i żywności. W ciągu godziny panował spokój, Niemcy wycofali się z terenu szpitala. Dokładnie w godzinę potem wpadła na podwórze i na teren szpitala grupa kilkunastu "kałmuków" i tyleż SS-manów i usłyszałam pierwsze strzały na parterze pod salą nr. 7. Za chwilę wpadł na salę nr. 7 ten sam SS-man mówiący po polsku, kazał natychmiast całemu personelowi szpitalnemu opuścić salę i wyjść na dziedziniec. Było nas tam trzy sanitariuszki: ja, siostra Łukasz i Danuta Siemiaszko, przebywająca obecnie we Wrocławiu ewentualnie w okolicach Wrocławia, która po odejściu Wojsk Powstańczych zgłosiła się jako sanitariuszka do szpitala, wśród ludności cywilnej. Siostra Łukasz i Siemiaszko wyszły, ja pozostałam aż do momentu, gdy SS-man przytknął mi broń do głowy i na prośbę swego rannego dowódcy opuściłam salę. Na podwórzu zauważyłam stojący pod ścianą - po lewej stronie wchodzący z bramy w kierunku ulicy Kilińskiego, personel sanitarny w białych fartuchach. Stało tam czterech mężczyzn, około 14-15 kobiet. Na środku podwórza stało około 40 czy 50 osób wśród leżących rannych. Kilku rannych w bramie głównej od strony ul. Długiej leżało na noszach. W bramie stała grupa SS-manów, którzy z karabinów i rewolwerów zaczęli strzelać do rannych stojących na środku podwórza, a także do leżących na noszach. Jednocześnie słychać było strzały z 1-go piętra i parteru. Pomiędzy rannymi leżącymi na noszach w bramie głównej, znajdował się kuzyn naczelnego lekarza grupy "Kedyw" - pułkownika Tarło - pseudonim Bobik. W trakcie strzelania do rannych, stojąc na podwórzu tuż koło głównej bramy, widziałam, jak SS-mani z butelek oblewali benzyną tych rannych, co padli po strzale i podpalali. Widziałam także, jak do Bobika, który jeszcze nie był zastrzelony, zbliżył się SS-man, chlusnął na niego benzyną z butelki i żywcem podpalił. Krzyknął do mnie wtedy do mnie Bobik "Monika ratuj", chcąc uratować swego dowódcę, roztrąciłam SS-manów strzelających do mnie, na oślep wbiegłam na I-sze piętro do sali nr. 7 i krzyknęłam "kto może się ratować niech ucieka", podbiegłam do nosz, na których leżał mój dowódca. Zaznaczam, iż wszyscy ranni leżeli na podłodze na noszach. Za mną wpadła żona rannego w białym fartuchu sanitariuszki, która także nam pomagała, nazwiskiem Różalska Janina, by ratować swego rannego męża. Obie usiłowałyśmy podnieść ja swego dowódcę, ona męża. W tym momencie wpadł na salę SS-man mówiący po polsku, którego już rozpoznałam i patrzył przez moment co robimy. Różalski, który nie mógł się podnieść, powiedział do niego po niemiecku "proszę strzelać", na co gestapowiec go zastrzelił. Różalska w tym momencie podbiegła do SS-mana i coś mu powiedziała, poczem on ją zastrzelił. Ja w tym momencie, niosąc na rękach dowódcę, dochodziłam już do drzwi, spotykałam idącą do sali sanitariuszkę Siemiaszko, która pomogła mi znieść dowódcę ze schodów. Na schodach stali wtedy SS-mani i z góry strzelali do rannych leżących na parterowej sali. Przeszliśmy z dowódcą koło SS-man w na podwórzu, tam już nie było sanitariatu, natomiast stali jeszcze po środku podwórza ranni, na podwórzu leżało około 20 trupów, wśród których część płonęła. Na środku podwórka stała grupa SS-manów, wśród nich kapitan SS, do którego wołano po nazwisku - Szulcman. Wygląd: wysoki, blondyn rudawy, czerwona twarz, tęg. W tym czasie ranni nasi wychodzili z budynków. Oficer wymieniony i obok niego stojący ciężiej rannych odstawiali słowem "links" - na lewo "pod lewą ścianą" twarz do tej ściany, poczem SS-mani do stojących strzelali. W momencie, gdy ja i Siemiaszko doszliśmy do grupy oficerów, niosąc dowódcę, tenże oficer Szulcman, o którym powyżej zeznałam, spojrzał na dowódcę i powiedział "links". Dowódca mój, będąc ciężko ranny w nogę, wyrwał mi się i chciał iść, podtrzymałam go przed siebie i zasłaniając sobą, przeprowadziłam do wyjścia od ulicy Kilińskiego. W momencie, gdy popychałam rannego dowódcę przed sobą, nastąpił moment przeraźliwej ciszy, i naden strzał nie padł. Z ulicy Kilińskiego, poprzez rumowiska, podwałem, z grupą znajdującą się na ulicy Kilińskiego złożonej z sanitariatu i części wyprzewodzonych przez nich rannych w ilości około 50 osób, eskortowani przez SS-manów, ulicą Podwałe doszliśmy do Placu Zamkowego. Już po mnie nie widziałam, by ktoś wychodził z naszego szpitala. Dwukrotnie eskortujący nas SS-mani zatrzymywali nas przy ulicy Podwałe, 1-szy raz przed stojącą rozbitym czołgiem, kiedy jeden SS-man wszedł na czołg i powiedział, po polsku: "Zawsze byliście pobożni, pomódlcie się, bo to wasza ostatnia chwila", drugi raz pod ścianą jakiegoś zrujnowanego domu, gdzie jakiś "Ukrainiec" chodził pomiędzy naszą grupą ustawioną po 5 osób w szeregu i zabierał od nas kosztowności.

Mnie ograbił SS-man, mówiąc po niemiecku "ty bezczelny polski pysku" i zdejmując zegarek z ręki. Rewizji osobistej nie robiono, czego się obawiałam, nie sąc przywiązane do brzucha dokumenty batalionu, którego z daleka kierował dowódca i stąd miałam je przy sobie. Doprowadzono nas do rogu ul. Mariensztadt i Plac Zamkowy i tu gestapowcy rozstrzelali ciężiej rannych z naszej grupy. W grupie naszej mogło być około 30 rannych, około 20 osób z sanitariatu. Ile osób wtedy rozstrzelano nie mogłam zauważyć, mając uwagę skoncentrowaną na osobie rannego dowódcy. Egzekucja trwała do 1/2 godziny. Trupy natychmiast palono. W pewnym momencie, z grupy SS-manów, stojących na rogu ul. Mariensztadt i Krakowskie Przedmieście, padł rozkaz po niemiecku: "dwie panie i mężczyzna podejść", kiwali na mnie. Zbliżyłam się więc z Siemiaszko i dowódcą. Wtedy od strony ul. Krakowskie Przedmieście przybył podoficer SS-man, jak się później dowiedziałam doktor Müller, i rozkazał zaprzestać rozstrzelania i rozkazał by SS-mani oddali mu osobiste materiały opatrunkowe. Wtedy grupa nasza mogła liczyć około 20 osób. Zauważyłam, że 4-ry sanitariuszki zostały rozstrzelane. Müller opatrzył ranę mego dowódcy, następnie dał nosze i 6-ciu Polaków, zabranych do rozbierania barykady, w celu zanieśienia go do szpitala urządzanego dla ludności cywilnej, w czasie Powstania, mieszczącego się w seminarium O.O. Karmelitów, przy kościele Karmelitów. Teren ten był cały czas w rękach niemieckich, nie był zniszczony. Mnie i Siemiaszko dr. Müller zatrzymał przy sobie, by opatrywać rannych leżących na podłodze. O losie grupy około 20 osób, ocalonej od egzekucji przez Mullera dowiedziałam się od personelu szpitala w seminarium Karmelitów. Mianowicie grupa ta została doprowadzona do szpitala Wolskiego na ulicy Płockiej i stąd wywieziona do obozu przejściowego w Pruszkowie. Ilu rannych tam ocalało nie umiem określić. O godzinie 18-ej udałam się do szpitala u Karmelitów, tam zastałam już dowódcę, zajęłam się organizowaniem szpitala, ponieważ dr. Müller obiecał, iż umożliwi mi sprowadzanie rannych ze Starego Miasta, którzy jeszcze mogli pozostać po piwnicach, myślałam w pierwszym rzędzie o szpitalu przy ulicy Długiej nr. 7. W dniu 4-ty września 1944r, po wystaraniu się o zezwolenie pułkownika Wehrmachtu Schmidt'a, kwaterującego wtedy w piwnicach gmachu Rady Ministrów na wysłanie eskorty sanitarnej dla zabrania rannych z ulicy Długiej nr. 7, wysłałam tam 7 sanitariuszy i sanitariuszek. Przyniesionych zostało z piwnic szpitala Długa 7, 6 osób, pięciu mężczyzn i jedna kobieta. Nazwisk tych rannych nie pamiętam. W okresie 2-tygodniowym zostali przeniesieni ranni z Elektrowni i Gazowni, z Wybrzeża Kościuszkowskiego i ulicy Ludnej. U Karmelitów przebywałam do 23 września 1944r, kiedy z rozkazu pułkownika Wehrmachtu Schmidt'a szpital był ewakuowany furami na ulicę Płocką nr. 26. Ja z dowódcą swoim i kilkoma chorymi pojechałam samochodem do Włoch, tu chorych pomieszczaliśmy w szpitalach, natomiast dowódca mój, ja i Siemiaszko oraz ranny przyniesiony ze szpitala Długa nr. 7 w dniu 4 IX. 1944r pseudonim "Jastrzębiec", którego nazwisko ustalię i podam ob. Sędziemu, dojechalismy wynajętą furą do Pruszkowa do moich rodziców. Mój dowódca nazywa się Majcherczyk Tadeusz, mieszka w Siemianowicach pod Katowicami, bliższy adres przślę w najbliższym czasie. Wobec tego, iż 1. IX. 1944r dopiero przeniosłam się do szpitala przy ulicy Długiej nr. 7, nie mogę podać nazwisk personelu tego szpitala, a także nazwisk osób, które ocalały. Może zrobić to major Stanisław Sokołowski, vice-dyrektor szpitala Wolskiego w Ciechocinku. Z rannych, którzy przeżyli likwidację szpitala Długa 7, mogę podać tyli pseudonimy, siostra "Jolanta", "Grażyna" Łączniczka przeniesiona z Długiej 7 w dniu 4-IX 1944r, "Jastrzębiec", "Zdan". Nazwisk rannych nie pamiętam. Spośród zamordowanych mogę wymienić: Różalski Antoni, Dąbrowski, porucznik A.K., przed wojną 1939r, pracował w policji, ponadto tylko pseudonimy: "WILCZEK" "BOBIK" "Smilży" "Szofer" "Jacek". Dodaję iż, w momencie krytycznym na ulicy Mariensztadt Siemiaszko mnie przedstawiła dr. Mullerowi jako doktora chirurga, w tej roli występowałam w szpitalu Karmelitów.

Na tym protokół zakończono i odczytano.

Schmidt'a, kwaterującego wtedy w piwnicach gmachu Rady Ministrów na wysłanie eskorty sanitarnej dla zabrania rannych z ulicy Długiej nr. 7, wysłałam tam 7 sanitariuszy i sanitariuszek. Przyniesionych zostało z piwnic szpitala Długa 7, 6 osób, pięciu mężczyzn i jedna kobieta. Nazwisk tych rannych nie pamiętam. W okresie 2-tygodniowym zostali przeniesieni ranni z Elektrowni i Gazowni, z Wybrzeża Kościuszkowskiego i ulicy Ludnej. U Karmelitów przebywałam do 23 września 1944r, kiedy z rozkazu pułkownika Wehrmachtu Schmidt'a szpital był ewakuowany furami na ulicę Płocką nr. 26. Ja z dowódcą swoim i kilkoma chorymi pojechałam samochodem do Włoch, tu chorych pomieszczaliśmy w szpitalach, natomiast dowódca mój, ja i Siemiaszko oraz ranny przyniesiony ze szpitala Długa nr. 7 w dniu 4 IX. 1944r pseudonim "Jastrzębiec", którego nazwisko ustalię i podam ob. Sędziemu, dojechalismy wynajętą furą do Pruszkowa do moich rodziców. Mój dowódca nazywa się Majcherczyk Tadeusz, mieszka w Siemianowicach pod Katowicami, bliższy adres przślę w najbliższym czasie. Wobec tego, iż 1. IX. 1944r dopiero przeniosłam się do szpitala przy ulicy Długiej nr. 7, nie mogę podać nazwisk personelu tego szpitala, a także nazwisk osób, które ocalały. Może zrobić to major Stanisław Sokołowski, vice-dyrektor szpitala Wolskiego w Ciechocinku. Z rannych, którzy przeżyli likwidację szpitala Długa 7, mogę podać tyli pseudonimy, siostra "Jolanta", "Grażyna" Łączniczka przeniesiona z Długiej 7 w dniu 4-IX 1944r, "Jastrzębiec", "Zdan". Nazwisk rannych nie pamiętam. Spośród zamordowanych mogę wymienić: Różalski Antoni, Dąbrowski, porucznik A.K., przed wojną 1939r, pracował w policji, ponadto tylko pseudonimy: "WILCZEK" "BOBIK" "Smilży" "Szofer" "Jacek". Dodaję iż, w momencie krytycznym na ulicy Mariensztadt Siemiaszko mnie przedstawiła dr. Mullerowi jako doktora chirurga, w tej roli występowałam w szpitalu Karmelitów.

/Helena Adolfiną, Monika Kłosowicz/

Omówienia:
 Skreślono: do mnie,
 Dopisano: Halina, świadka,
 ter, z,
 poprawiono: pod pseudonimem,
 na, spowied, pełnostan

Za zgodność
 Sędzia
 HALINA WEREŃKO

p. o Sędzia/Halina Wereńko /

Handwritten signature